

„KUL dał mi godność”.

**Wspomnienia ks. Jana Kurka, studenta Wydziału Prawa
Kanonicznego KUL w latach 1959–1962**

‘KUL gave me dignity.’

Memoirs of Fr. Jan Kurek, student at the Faculty of Canon Law at KUL
in the years 1959–1962

«Люблинский католический университет дал мне достоинство».

Воспоминания священника Яна Курка, студента Факультета канонического права
Люблинского католического университета в 1959–1962 годах

“Люблінський Католицький університет дав мені гідність”.

Спогади о. Яна Курека, студента факультету канонічного права Люблінського
католицького університету в 1959–1962 роках

KAROL ADAMCZEWSKI OFMConv

Dr, Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II

e-mail: karol.adamczewski@kul.pl, <https://orcid.org/0000-0003-1294-4458>

O. Karol Adamczewski: W 1958 r. nie doszło do wyjazdu Księdza prałata na studia do Rzymu. Jak wyglądało wówczas załatwienie formalności? Kto wydawał pozwolenie?

Ks. Jan Kurek: Najpierw zostaliśmy wezwani (ja i mój kolega ks. Białecki) przez naszego przełożonego, bp. Ignacego Świrskiego, który zakomunikował nam, że mamy studiować w Rzymie. Zapewnił, że postara się u księdza prymasa o jak najszybsze wyrobienie wizy i bilet dla każdego z nas. Formalności, którymi zajmował się w naszym imieniu Kościół, załatwiono błyskawicznie. Wizę włoską zachowałem na pamiątkę i przechowuję ją do dziś. Brakowało paszportów, ale te mogła wydać tylko władza świecka. Gdybyśmy je otrzymali, moglibyśmy ruszać choćby nazajutrz. Biskup przynaglał nas, więc zgłosiłem się do biura paszportowego w Warszawie (zdaje się, że mieściło się ono przy ul. Okopowej). Tam jednak okazało się, że tym razem nic nie będzie proste. Już na początku zapowiedziano nam, że paszport otrzymamy tylko pod warunkiem wyrażenia zgody na współpracę z komunistycznymi władzami i po podpisaniu stosownego dokumentu.

Jest to druga część rozmowy z ks. Janem Kurkiem, w której opowiada on o czasach swoich studiów kanonicznych na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Pierwsza część wywiadu pt. „Bardzo poważnie traktowaliśmy studia”. *Wspomnienia ks. Jana Kurka, studenta Wydziału Prawa Kanonicznego KUL w latach 1959–1962* została opublikowana w *Studiach Prawniczych KUL* 2025, nr 2, s. 241–250.

KA: Kto złożył tę propozycję?

JK: Jakiś oficer z Urzędu Bezpieczeństwa. Niestety nie przedstawił się. Dopiero dużo później usłyszałem jego nazwisko. Nowicki, zdaje się... Nie wiem, czy to były jego prawdziwe personalia.

KA: Nosili mundury? Legitymowali się?

JK: Nie, ubrani byli po cywilnemu. Nie mieli też w zwyczaju okazywać żadnej legitymacji. Dlatego przez cały czas nie wiedziałem, z kim mam przyjemność. Oficer, który ze mną rozmawiał, dużo pytał, a mało wyjaśniał. Jeżeli coś szło nie po jego myśli, przypominał stanowczo, że to on zadaje pytania, na które ja mam obowiązek odpowiadać. Zwracał się do mnie „na pan”, a czasami „na ty”.

KA: Ile było tych spotkań w sprawie paszportu?

JK: Wzywali nas dość regularnie, średnio raz w miesiącu. Przypominam sobie kilka takich spotkań. Nasz „prowadzący” usilnie namawiał nas do współpracy. Pewnego razu, być może było to podczas czwartej lub piątej wizyty, zapytałem, na czym ta współpraca miałaby polegać. Usłyszałem wtedy: „Nie bądź taki cwaniak. Dowiesz się wszystkiego, jak pojedziesz do Rzymu. Tam ci przekażą wszystkie wskazówki. Teraz najważniejsze, żebyś podpisał zgodę”. Rozmowy ze mną zawsze jednak kończyły się tak samo. Odmawiałem złożenia podpisu na dokumencie. Po którejś nieudanej próbie mój rozmówca rzucił mi w twarz, że paszportu nie otrzymam nigdy.

KA: Jak się zachowywał w trakcie tych rozmów? Poza nim był obecny jeszcze ktoś inny?

JK: Z tamtej strony ludzie się zmieniali. Jeden odchodził, przychodził następny i kontynuowaliśmy. Zachowywali się różnie, niekiedy zupełnie odmiennie. Na przykład pierwszy straszył, a nawet groził. Zapewniał, że jeśli nie wyjadę do Rzymu i zostanę w Polsce, to on już się postara, abym nie dostał żadnej parafii. Tymczasem wyjechać mogłem tylko wtedy, gdybym zgodził się na podpisanie dokumentu o współpracy. Człowiek ten wywierał silną presję. Drugi postępował zupełnie inaczej. Był o wiele spokojniejszy, a nawet trochę współczujący. Taka oto była ich taktyka: „dobry i zły policjant”. Jeden się denerwował, krzyczał, próbował sprowokować do kłótni, a następnie obiecywał, że jak tylko podpiszę stosowny dokument, to paszport będzie od ręki. Drugi zachowywał spokój i opanowanie.

KA: Bał się Ksiądz prałat tych spotkań?

JK: Szczerze mówiąc, kiedy jechałem pierwszy raz do Warszawy, to nie czułem strachu. Pewnie dlatego, że nie wiedziałem, z kim będę miał do czynienia. Myślałem,

że jadę po paszport i to wszystko. Jednak w późniejszym okresie odczuwałem już spory niepokój. Było dla mnie oczywiste, że należy przyjąć odpowiednią taktykę. Moja była taka: starałem się mówić jak najmniej. Odpowiadałem zdawkowo i tylko na zadawane pytania. Protokół, który kazali podpisywać, sygnowałem bezpośrednio pod tym, co spisano. Pilnowałem, by między moim podpisem a treścią zeznań nie pozostało miejsce wolne, aby nie mogli niczego tam dopisać. Wskazówek udzielił mi mój przełożony, bp Świrski. To on zwrócił mi uwagę na to, by zachować szczególną ostrożność i zwracać uwagę, co podpisujemy i w którym miejscu. Bardzo uwrażliwiał nas na te sprawy. Na koniec każdej rozmowy, kiedy prowadzący pytał, czy chcę dodać coś od siebie do protokołu, oświadczałem krótko, że jestem księdzem katolickim wiernym Bogu oraz Kościołowi i nigdy nie zgodzę się na współpracę.

KA: Kiedy ostatecznie dali spokój i przestali wzywać?

JK: Dokładnie nie pamiętam... Kiedy studiowałem na KUL-u, jeszcze mnie wzywali. Wydaje mi się, że dość dobrze znali historię mojego życia, a zwłaszcza niektóre epizody. W rozmowach sugerowali, że wiedzą o pewnej mojej przygodzie z liceum. Otóż jeden z moich kolegów zawiesił w swoim pokoju portret Stalina. Znałem tego chłopaka jeszcze z czasów podstawówki i nawet pomagałem mu w nauce, aby mógł ukończyć szkołę. Miałem o nim dobre zdanie i byłem przekonany, że to uczciwy człowiek. Jego ojciec służył w Armii Krajowej, został aresztowany i wywieziony na Wschód, gdzie zginął. Kiedy poszliśmy do szkoły średniej, zamieszkaliśmy w różnych miejscach. Pewnego razu przyszedłem do niego na stancję w odwiedzinach. Jakież było moje zdumienie, kiedy w pokoju nad łóżkiem ujrzałem portret Stalina! Potem sprawy potoczyły się szybko. „Słuchaj, widzę, że masz nowego świętego”, powiedziałem wzburzony, a następnie zrzuciłem ten portret ze ściany i pchnąłem go pod łóżko. Moje zachowanie mocno uraziło mojego znajomego. Osobiście złożył na mnie skargę u miejscowego szefostwa partii. Wybuchła wielka afera. Kilka dni później do szkoły przyszło wezwanie, żebym stawiał się w wyznaczonym terminie w siedzibie partii. Kiedy tam poszedłem, kazali mi podnieść ręce do góry i zaczęło się przesłuchanie, które trwało jakieś półtorej godziny. Przez cały ten czas na biurku leżały dwa pistolety. Tak chcieli mnie zastraszyć.

KA: Ile Ksiądz prałat miał wtedy lat?

Chodziłem do 10 klasy. Trzeba było się ratować. Zacząłem więc wyjaśniać, iż nie zrzuciłem tego portretu celowo i że widocznie spadał przypadkowo w czasie, gdy z moim kolegą prowadziliśmy na żarty walkę wręcz. Oczywiście nie chciano przyjąć takiego wyjaśnienia. Usłyszałem, że za to, co zrobiłem, grozi kara dwóch lat więzienia

połączona z pracą w kopalni. Moi rozmówcy zapewnili mnie, że gdy tylko wszystko udowodnią, zostaną pod eskortą wywiezieni na Śląsk.

KA: Jaki był finał tej historii?

JK: Wstawił się za mną dyrektor szkoły w Żelechowie. Człowiek ten bronił mnie z wielką odwagą. Pomogło mi zapewne również to, że w szkole cieszyłem się dobrą opinią, również nauka szła mi nieźle. Ponadto mój stryjek miał jakiegoś wysoko umocowanego znajomego członka partii (prawdopodobnie samego sekretarza komitetu w Garwolinie albo kogoś kto go dobrze znał). Ostatecznie dokumentacja sprawy nie została przesłana do Warszawy. Na szczęście dla mnie, papiery pozostały w Garwolinie, a po jakimś czasie „przepadły” (najprawdopodobniej zniszczył je sekretarz). Dzięki temu uniknąłem kary.

KA: Podczas późniejszych spotkań pytali o tę sprawę?

JK: Nie, ale straszili mnie. Twierdzili, że wiedzą o mnie wszystko. Wyrzucali mi, że jestem synem kułaka. Sporo wiedzieli o moim domu rodzinnym. Bałem się, że mogli znać i wykorzystać tę dawną sprawę z portretem.

KA: Stanowcza odmowa współpracy z władzą przekreślała szansę wyjazdu na studia zagraniczne. Był Ksiądz prałat z tego powodu dumny i czuł się może trochę jak bohater?

JK: Wówczas nie było to dla mnie nic nadzwyczajnego. Ponadto wiedziałem, że nawet jeśli nie pojadę do Rzymu, to i tak pójdę na studia w Polsce. Poważnie traktowałem pouczenia mojego biskupa, który nieustannie przestrzegł, abyśmy nie podpisywali żadnej deklaracji współpracy. Dodawał nam otuchy i zapewniał, że jeśli władza świecka nie wyda zezwolenia na wyjazd na zagraniczną uczelnię, to on i tak skieruje nas na studia, ale w Polsce.

KA: Naprawdę nie było choć trochę żal tej oddalającej się perspektywy wyjazdu i pobytu w Wiecznym Mieście?

JK: Nie. Może to dziwne, ale wówczas nie zajmowałem sobie tym głowy. Jak człowiek jest młody, to nie rozważa wszystkiego aż tak dogłębnie i analitycznie. Mnie się wtedy marzyło, żeby w ogóle pójść na uczelnię, żeby dalej się kształcić. Sam fakt otrzymania po ukończeniu seminarium propozycji od przełożonych kontynuowania nauki odebrałem jako ogromne wyróżnienie.

KA: „Przygody” z władzą skończyły się, kiedy było już jasne, że wyjazd za granicę nie dojdzie do skutku?

JK: Nie do końca. Zdarzało się, że odnosiłem wrażenie, iż mam przydzieloną „opiekę ubecką”. Innym razem byłem pewny. Raz na przykład pojechałem z kazaniem odpustowym do parafii prowadzonej przez ks. Milika, mojego byłego prefekta z seminarium. W czasie homilii wspominałem m.in. Woltera, francuskiego filozofa oświeceniowego, który był ateistą. Po powrocie do Lublina otrzymałem wezwanie z Urzędu Bezpieczeństwa. Tam zarzucono mi, że na kazaniu próbowałem podkopać autorytet państwa, znieważając publicznie generała Karola Świerczewskiego (posługującego się podczas wojny domowej w Hiszpanii pseudonimem „Walter”). Oczywisty absurd! Nic takiego przecież nie miało miejsca, ale oni znowu grozili mi więzieniem. Musiałem tłumaczyć, że miałem na myśli filozofa Woltera, a nie rewolucjonistę Waltera, oraz że między tymi dwoma postaciami pod każdym względem zachodzi kolosalna różnica. Dali mi w końcu spokój, ale strachu się najadłem.

KA: Porozmawiajmy jeszcze o studiach na KUL-u. Jakie miał Ksiądz prąta wyobrażenie i wiedzę na temat prawa rzymskiego przed podjęciem studiów kanonicznych oraz jak one się zmieniały w ich trakcie, a także później, po ich zakończeniu?

JK: Elementy prawa rzymskiego były nam prezentowane już w seminarium w ramach wykładów z prawa kanonicznego. Na studiach teologicznych również mieliśmy wykłady z prawa kanonicznego, które prowadził ks. dr Bernard Filipiuki. Wykładowca ten miał opinię świetnego kanonisty i doskonałego praktyka. Studiował przed wojną prawo kanoniczne i rzymskie w Papieskim Instytucie Obojga Praw będącym częścią Uniwersytetu Laterańskiego. Tam ostatecznie uzyskał stopień doktora *in utroque iure*. Wykładając w seminarium przedmioty kanoniczne, naturalnie przywoływał także wybrane instytucje prawa rzymskiego. Podkreślał wzajemne powiązanie tych dwóch porządków. Ponieważ lubiłem łacinę, więc i tą drogą niejako naturalnie zaglądałem do prawa rzymskiego. Przyznać jednak muszę, że wówczas nie było ono dla mnie jeszcze czymś zajmującym. Moje wyobrażenia zmieniły się, kiedy rozpocząłem studia kanoniczne na KUL-u. Tam w programie znalazło się prawo rzymskie wykładane przez ks. prof. Stanisława Płodzienia. Wszyscy chodziliśmy na ten wykład, co dało mi to szansę lepszego poznania prawa rzymskiego. Uzmysłowiłem sobie wtedy znaczenie tradycji rzymskiej w Kościele i w ogóle w świecie współczesnym. Mówiliśmy już o tym.

KA: A inni?

JK: Inni profesorowie także chętnie odwoływali się do prawa rzymskiego. Na przykład ks. prof. Myrcha często podkreślał, że prawo rzymskie przetrwało do dziś

i wiele się z niego korzysta. Tłumaczył nam, że tworzy ono podwaliny systemu prawa w Kościele i państwie. Często używał sformułowania „kultura prawnicza” i wskazywał, że jest ona osadzona w prawie rzymskim.

KA: Musieliście się uczyć łacińskich paremii na pamięć?

JK: Nie pamiętam, ale wielu profesorów lubiło cytować pewne maksymy, które naturalnie trzeba było sobie przyswoić.

KA: Po studiach znajomość prawa rzymskiego się przydała? Na przykład w pracy kurialnej i duszpasterskiej?

JK: Oczywiście! Najbardziej podczas kolejnych studiów na Uniwersytecie Warszawskim. To było właściwie trzyletnie studium prawa polskiego funkcjonujące pod nazwą „Poddyplomowe studium prawa cywilnego w związku z wydaniem nowego kodeksu cywilnego”. W jego programie znajdowało się sporo wykładów poświęconych tematyce zawartej w kodeksie cywilnym, który wówczas wchodził w życie. Profesorowie, przedstawiając słuchaczom zagadnienia z prawa cywilnego, operowali również łaciną. Pojawiały się także odniesienia do prawa rzymskiego. Dzięki dobrej znajomości tego przedmiotu z łatwością przyswajałem sobie „nowe” instytucje polskiego prawa cywilnego.

KA: Wymienił Ksiądz prałat ks. prof. Myrchę. Jaki on był?

JK: Ks. prof. Myrcha należał bez wątpienia do profesorów rangi światowej. Regularnie przyjeżdżał z wykładami do Lublina z Warszawy. Znano i ceniono go nie tylko w Polsce, ale i za granicą, co w tamtych czasach było znaczące. Był świetnym prawnikiem i jednocześnie miał ścisły umysł. Możliwość uczestniczenia w jego zajęciach była dla nas dużym przeżyciem. Wykłady zapamiętałem jako bardzo ciekawe i dość oryginalne. On stawiał jakiś problem, prezentował zagadnienie, a następnie trzeba było dostosować do tego odpowiednie kanony, które oczywiście należało wcześniej poznać.

KA: Rzeczywiście ciekawy sposób prowadzenia wykładu...

JK: W ten sposób bardzo szybko się orientował, kto jest lotny. Jeśli jakiś student wykazywał się wiedzą oraz, co ważne, potrafił przedstawić swoją argumentację i własny sposób myślenia, szybko zyskiwał uznanie w jego oczach. Jeśli ktoś natomiast jedynie uczył się na pamięć i później tylko odtwarzał zgromadzoną wiedzę, był uznawany za raczej przeciętnego. Najgorzej widziane było natomiast siedzenie cicho i gdzieś na boku.

KA: Metoda sokratejska.

JK: Można tak powiedzieć. Zazwyczaj ten, kto potrafił z nim dyskutować, miał też dobre stopnie. Wyuczenie się materiału na pamięć na egzamin nie dawało gwarancji sukcesu, ponieważ profesor pytał „problematicznie”. Przedstawiał zagadnie i prosił o rozwiązanie. To wymagało nie tylko wiedzy, ale i odpowiedniego jej zastosowania. Jeśli ktoś miał problemy z tym drugim elementem, było mu znacznie trudniej zdać. Jego przemyślana metoda miała na celu zaszczerpienie u młodych kanonistów umiejętności stosowania prawa w praktyce już na etapie studiów.

KA: W jakim języku prowadził wykład?

JK: Wykładał po polsku, choć bardzo dużo cytował po łacinie. Lubił odwoływać się do Gommara Michielsa² i jego dzieł, które wydane były w języku łacińskim i które znałyśmy się u nas na liście lektur obowiązkowych.

KA: Jaki miał sposób bycia?

JK: Średniego wzrostu, szczupły, zazwyczaj nosił sutannę. Usposobienia poważnego. Czasami tylko lekko się uśmiechał. To ciekawe, że podczas zajęć angażował słuchaczy, ale jako osoba nie był zbyt rozmowny czy wylewny. Widać było, że dużo rozmyślał. Jego twarz nieraz przybierała wyraz bardzo skupiony. Mówił mało, uważnie dobierał słowa, co sprawiało, że wypowiadał się bardzo mądrze.

KA: Niektórzy wspominają, że był cholerykiem...

JK: Cóż, szczerze mówiąc, był. Zwłaszcza podczas egzaminów... Zdarzało mu się wybuchnąć, kiedy ktoś nie nauczył się albo nie potrafił z nim prowadzić dyskusji. Niemniej na wykładzie starał się być zawsze opanowany. Przemawiał spokojnie, ale w toku dyskusji, kiedy na przykład jakiś student popuszczał wodze fantazji, reagował szorstko: „To nie tak wygląda, jak sobie myślisz. To jest prawo!”

KA: To nie szkodziło jego popularności?

JK: W żadnym wypadku! Angażował się w sprawy Kościoła. Miał też na swoim koncie wielkie zasługi na rzecz państwa polskiego, zwłaszcza w okresie okupacji. Był dla nas autorytetem.

² Zob. J. Krukowski, *Józef Gommar Michiels (1890–1965)*, w: *Profesorowie prawa Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II*, red. A. Dębiński, J. Misztal-Konecka, W.Sz. Staszewski, K. Adamczewski, Lublin 2024, s. 409 i nn.

KA: Jakie to były zasługi?

JK: Przed wojną pełnił funkcję kapelana w więzieniu, a w czasie okupacji został kapelanem Armii Krajowej. Mówiono, że miał znaczący udział w akcji zebrania i przekazania szczątków rakiety V2, która została wystrzelona przez Niemców, ale w powietrzu uległa awarii i nie dotarła do celu. Niektóre jej elementy spadły m.in. w miejscowości Sarnaki nad Bugiem. Zostały pozbierane i przekazane w umówionym miejscu żołnierzom z AK. Zebrane szczątki trafiły do Anglii. W tych działaniach ks. Myrcha miał brać czynny udział. W warunkach okupacyjnych za takie czyny groziła śmierć albo przynajmniej obóz. Po śmierci otrzymał awans na pułkownika. To był bardzo odważny człowiek.

KA: Opowiadał o tych wydarzeniach na wykładach?

JK: Nigdy. W ogóle nie wspominał o czasach wojennych. Jak mówiłem, miał naturę milczącą. Wydawał się wręcz tajemniczy i skryty. Kiedy miał z nami zajęcia, nie był w podeszłym wieku, a jednak dawało się zauważyć, że jego zdrowie było nadszarpnięte. Po wykładach sprawiał wrażenie zmęczonego i raczej unikał rozmów. Być może podróże z Warszawy też dawały się we znaki?

KA: A wspominał swoje czasy studenckie na KUL-u?

JK: Nie. Zapewne nie było na to czasu. Kiedy przyjeżdżał, właściwie od razu przystępował do sedna sprawy. To było spore poświęcenie z jego strony, ponieważ miał wiele obowiązków uczelnianych w Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie oraz kurialnych w swojej diecezji. Do Lublina jednak przyjeżdżał, bo został o to poproszony. KUL wiele na tym korzystał, ponieważ nie było wtedy lepszego znawcy kanonicznego prawa karnego w Polsce. Dzięki takim profesorom poziom nauczania prawa na KUL-u stał bardzo wysoko.

KA: Chciałbym zapytać jeszcze o ks. prof. Kałwę. Wspominał może o swoich wykładach w ramach tajnych kompletów za czasów okupacji?

JK: Nie, o niczym takim nie wspominał. Pojawił się jednak inny wątek. Jako że był biskupem diecezji lubelskiej, zapytaliśmy go kiedyś o sprawę objawień Matki Boskiej w katedrze lubelskiej. Wydarzenie to miało miejsce 3 lipca 1949 r. Podczas zajęć zapytaliśmy wprost, czy te krople, które się pojawiły na wizerunku Matki Bożej Częstochowskiej, to faktycznie prawdziwe łzy? Odpowiedział nam wówczas dość ostrożnie, a nawet wymijająco. Zalecił czekanie aż do zakończenia prac specjalnie powołanej komisji mającej zbadać to nadzwyczajne wydarzenie. Przez długi czas nie było ze strony władzy kościelnej oficjalnego komunikatu. Może z obawy przed

interwencją władzy państwowej? To wydarzenie początkowo zgromadziło mnóstwo ludzi i budziło ogromne zainteresowanie. Nawet po latach było o nim głośno.

KA: A jego wykłady dla kanonistów?

JK: Ks. prof. Kałwa wykładał przedmiot, który w indeksie mam zapisany jako: „Historia źródeł kościelnego prawa polskiego”. Podczas wykładów uwielbiał opowiadać o Księstwie Wiślickim. Wielokrotnie wracał do tego tematu. Snuł nawet przypuszczenia, że mogło ono istnieć wcześniej od Księstwa Moraw, jego zdaniem rządzący nim książę musiał być religijny. Niewykluczone, że w celu szerzenia chrześcijaństwa i umożliwienia rozwoju struktury kościelnej sprowadzał zakonnych misjonarzy z państw, które były już chrześcijańskie. Dowodził, że Wiślica była w swoim czasie jednym z najbardziej wpływowych i znaczących księstw. Przekonywał nas, że to właśnie tam należałoby upatrywać kolebki państwa polskiego.

KA: Słuchacze więc raczej się nie nudzili?

JK: Wykładał w sposób niezwykle ciekawy. Niestety wykłady odbywały się tylko do końca kwietnia. Z początkiem maja rozpoczynał się okres kanonicznych wizytacji, stąd też biskup udawał się z odwiedzinami do różnych parafii swojej diecezji. Lubiliśmy go bardzo, ponieważ jako osoba był serdeczny, ale niestety mniej dostępny w porównaniu z wieloma innymi profesorami, właśnie ze względu na obowiązki biskupie.

KA: Kolegą ze studiów Księdza prałata był ks. Franciszek Wycisk, prawda?

JK: Zgadza się. Ks. Wycisk był bardzo zdolny. Powiedziałbym nawet, że zdolniejszy od ks. Orszulika, z którym się przyjaźnił. Obaj byli pallotynami. Izolowali się nieco od księży diecezjalnych. Po wykładach zwykle zaraz wracali do siebie. Rocznikowo obaj byli ode mnie starsi. Na ich roku uczyli się jeszcze ks. Zygmunt Kamiński (późniejszy biskup) oraz ks. Wieczorek. Kiedy ukończyli studia i uzyskali magisteria, powrócili do pracy w zakonie. Ks. Wycisk przebywał jakiś czas w Warszawie, ale siłą rzeczy kontakt między nami stopniowo słabł. Inaczej moje relacje ułożyły się z ks. Orszulikiem, który po latach został biskupem w mojej diecezji. Podczas spotkań oficjalnych i nieoficjalnych przyznawał się do znajomości ze mną.

KA: A o. Leon Bojarski?

JK: On z kolei mieszkał w konwencie dominikańskim w Lublinie. Bardzo uprzejmy, rozmowny i serdeczny. Po wykładach również zazwyczaj od razu wracał do swego klasztoru. Z nami jakoś bardziej się nie spoufalał, ale to pewnie dlatego, że miał swoją wspólnotę. Nasze kontakty sprowadzały się do tego, co nas wspólnie dotyczyło

w ramach studiów. Raz zaprosił do siebie mnie oraz mojego kolegę ks. Gruszkę, salezjanina. Zaproponował wtedy, że oprowadzi nas po ich zabytkowym wielkim konwencie. Chętnie się na to zgodziliśmy.

KA: O czym przyszli kanoniści rozprawiali w wolnych chwilach?

JK: Och, tematy były różne. Naturalnie wiele zależało od tego, kto uczestniczył w tych rozmowach. Na studia kierowano bowiem księży z różnych diecezji Polski. Do tego dochodzili zakonnicy reprezentujący zakony i zgromadzenia posiadające własną tradycję, nierzadko bardzo bogatą. Pamiętam na przykład, że studiował z nami ks. Stanisław ze Zgromadzenia Chrystusowców, który bardzo lubił nam opowiadać o swoim zgromadzeniu. Moim dobrym kolegą był też ks. Przekop³. Z nim można było porozmawiać o wszystkim. W dyskusjach naukowych chętnie uczestniczył ks. Gruszka – salezjanin oraz ks. Maciąg z diecezji lwowskiej. Wymiana myśli i doświadczeń była naprawdę bogata.

KA: Był to czas pontyfikatu Jana XXIII i zbliżającego się Soboru Watykańskiego II?

JK: Tak, owszem, temat Kościoła i dokonujących się w tej przestrzeni zmian był przedmiotem naszej uwagi. Wiele o tym dyskutowaliśmy. Nieraz tej problematyce poświęcano specjalnie całe wykłady na KUL-u. Tematyka ta elektryzowała nasze środowisko. Wyczuwało się pewne wzmożenie, oczekiwanie i nadzieję. Z wielką uwagą śledziliśmy reformy wprowadzane przez papieża Jana XXIII. Pojawiały się zaskakujące nowości, stąd tym większe było nasze zainteresowanie i podekscytowanie. Działania Rzymu przyjmowaliśmy z dużą nadzieją. Byliśmy przekonani, że zapowiadane i wprowadzane reformy poprawią kondycję Kościoła. Tym bardziej, że potrzebę zmian dostrzegało się i wyczuwało od dłuższego czasu. W tym tonie utrzymane były liczne oficjalne przemówienia Ojca Świętego.

KA: Jakie są refleksje Księdza prałata w odniesieniu do jakości formacji nie tylko intelektualnej, ale i ogólnoludzkiej na KUL-u?

JK: KUL dał mi jako człowiekowi godność oraz do pewnego stopnia samodzielność. Ja i większość moich kolegów księży odbywaliśmy przed święceniami formację dwuetapową. Początki były bardzo trudne pod wieloma względami. Pierwszy etap formacji odbywał się w seminarium w Drohiczynie. Tam panował ogromny i przesadny rygor. Nie było wolności. W ramach drugiego etapu, który miał miejsce w seminarium w Siedlcach, było zupełnie inaczej. O wiele lepiej. W seminarium w Siedlcach był wspaniały rektor oraz wychowawcy, spośród których wyróżniał się

³ Zob. G. Wojciechowski, *Edmund Przekop (1937–1999)*, w: *Profesorowie prawa...*, s. 545 i nn.

ks. Józef Szajda. Niemniej śmiem twierdzić, że pełnię człowieczeństwa osiągnęliśmy właśnie na KUL-u. Tu pod każdym względem dokonał się nasz niesamowity rozwój. Spotkaliśmy ludzi szlachetnych i mądrych, którym autentycznie zależało na rozwoju naszej osobowości. Oni dbali o stworzenie naturalnej przestrzeni do swobodnej wypowiedzi, do wymiany myśli i opinii. Poza wysoką jakością kształcenia to było chyba najważniejsze. Ponadto zapraszano wtedy na uczelnię wiele ciekawych osób nie tylko z Polski, ale i z zagranicy. Przyjeżdżali profesorowie z ośrodków akademickich z Niemiec, Francji czy Włoch. Pamiętam, że zajęcia z języka francuskiego prowadził dla nas profesor, który przyjechał na jakiś czas do Polski z Francji. Nie znał polskiego. Na zajęciach nieustannie przypominał nam: „Nous parlons uniquement le français”. Niekiedy przybywał z wykładami nawet Prymas Polski, kardynał Stefan Wyszyński, a także popularny już wówczas biskup krakowski Karol Wojtyła. Przychodziła na te spotkania masa młodzieży. Karol Wojtyła miał niesamowite poczucie humoru. Mawiał na przykład: „Oni mnie słuchają, ale czy mnie rozumieją, to ja nie wiem”.

KA: Może dlatego z takim spokojem Ksiądz prałat wspomina okoliczności odmownej decyzji władz w sprawie wydania paszportu, która, co by nie mówić, zamykała wspaniałą perspektywę studiów w Rzymie?

JK: Przypuszczam, że w ogólnym rozrachunku skorzystałem o wiele więcej, zostając w Polsce i mając możliwość studiowania na KUL-u. Gdybym wyjechał do Rzymu, to – pomijając kwestie polityczne – zetknąłbym się z wieloma trudnościami. Jedną z nich była nieznajomość włoskiego. Władałem wprawdzie dobrze francuskim i niemieckim oraz znałem łacinę, ale i tak musiałbym poświęcić sporo czasu i energii na naukę kolejnego języka. Chodziło przecież o gruntowne poznanie i przyswojenie prawa kanonicznego. Nie wiem, jak potoczyłyby się moje studia w Rzymie i jak potem wyglądałaby moja przyszłość. Kiedy ukończyłem studia na KUL-u, to w chwili opuszczania murów uczelni posiadałem pełne przygotowanie intelektualne i ludzkie do tego, by podjąć posługę nie tylko duszpasterską. Odnalazłem się jako wykładowca w seminarium, urzędnik w kurii biskupiej oraz sędzia w trybunale kościelnym. Z czasów lubelskich pozostało mi również wielu serdecznych znajomych, zwłaszcza wśród księży studentów i profesorów. Przez całe swe późniejsze życie mogłem korzystać z ich doświadczenia i pomocy.

KA: Bardzo dziękuję za poświęcony czas i rozmowę.

Łuków, 19 lutego 2023 r.

(Parafia Przemienienia Pańskiego, Kolegiata Łukowska)